TYGODNIK POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"		DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"	
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie	$1.00	W Stanach Zjednoczonych i Canadzie	$2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi	1.50	Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi	2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 22. *Chicago, Ills., 26 Listopada, 1885 r.* Rok II.

OPOWIADANIA
JMĆ PANA WITA NARWOJA,
ROTMISTRZA KONNEJ GWARDYI KORONNEJ.

A. D. 1760 – 1767.

— SPISAŁ —

WŁADYSŁAW ŁOZINSKI.

(Ciąg dalszy.)

Moderunek był dobry i według reguł niemieckiej praktyki militarnej. Miał każdy żołnierz karabin, pałasz, bagnet i parę pistoletów, czyniąc niemi musztrę pieszą lub konną, bo obie musiał znać, jako iż dragoni w batalii według obu regulamentów zażywani być mogli. Konie same tęgie i silne fryzy, trochę ciężkie, ale dobrze dobrane.

Za ambicyę to sobie miałem, żeby, kiedym dobrego żołnierza dostał, jeszcze lepszego zeń zrobić. Trochę mi to twardo było od razu, bo i żołnierze i oficerowie moi trochę do wygód się przyzwyczaiwszy, niechętni byli do ostrej musztry, cały kunszt na paradnym marszu, na trzymaniu ordynku a na zręcznem skwerowaniu bronią przed królem i hetmanami sobie zasadzając. Było też mnogo hałasu, jako ludzi męczę i oficerów niepotrzebnie turbuję — ale żem się nauczył karność chować u Prusaków, a mocną ręką władzę w chorągwi trzymałem, więc musiało być po mej woli.

Jakoż bez przechwałki to a z chlubą poczci-

wą powiadam, że chorągiew moja była tak dobrze wyćwiczoną w rzemiośle żołnierskiem, że byłbym się nią nie powstydził przed dawnym obersztem moim, grafem Koggeritzem, a nawet przed samym królem Jegomością Fryderykiem.

Na dobre to wyszło później, bo kiedyśmy na hajdamaki wyszli, nie raz i nie dwa razy chorągiew moja łotrostwo poskromiła, nie tylko mężnie ale z wszelaką wojskową regularną precyzyą sobie poczynając, a kiedy bywało panowie Towarzystwo i lekkie pułki przedniej straży tył podawać musieli, lub srodze byli turbowani, dragoni moi wszystkich salwują i między opryszkami rum robią, sami nie ponosząc dużego szwanku.

Bywało panowie Towarzystwo pancerne i Husarya z wielkim animuszem i okrutną fantazyą natrą, kupą gęstą bieżąc i tumult a okrzyk wielki czyniąc — ale gdy się tego hajdamactwo nie ustraszy a impet na impet nasadzi, dawaj w rozsypkę iść, a mięszać się, a nawet — na despekt to nam nie raz było — nędznie umykać; zaś dragoni moi, gdyby mur plac trzymają, z konia w lot zsiądą, ogniem plutonowym sypią lub w bagnety pójdą, a cichutko i sfornie, jakby machiny, jeno komendy nadsłuchując.... Ale o tem potem jeszcze.

Dwa lata w Warszawie lub pod Warszawą z szwadronem moim stałem, i na elekcyę króla Stanisława Augusta patrzałem. Po tym czasie otrzymałem ordynans, ruszyć z Warszawy a do Lwowa maszerować, jako że ztamtąd pan generał Korytowski, komendant tego miasta, piechotę swą do Kamieńca oddawszy, bardzo a bardzo o augmentacyę garnizonu upraszał. Daleka to była droga dla mnie, i daleka Ukraina, ta Ruś, bo jej dotąd nigdy nie widziałem, a dla mego szwadronu takoż miłym ten ordynans nie był, bo się to już wszystko w Warszawie osiadło było jakoby w domu, ale ordynans ordynansem, a kiedy marsz, to marsz i kwita.

Żałowali mnie koledzy i radzili, abym pana szefa upraszał, by mnie już w tak daleką drogę nie ruszał, ale po prostu chorągwi do Lwowa odmówił, jako że żołnierz w marszu jest w tej Rzeczypospolitej mizernem a nieszczęśliwem stworzeniem. Mówili mi, że się biedy najem i frasunku w tym opłakanym marszu, i że żołnierze z głodu przymierać mi będą. Mówili i mieli racyę, bo tego marszu nie zapomnę ja nigdy; tak on mi dojął aż do siódmej skóry.

Śmieli się też ze mnie rotmistrzowie inni a sarkali mocno oficerowie mego szwadronu, żem na ten marsz ani sam krytego powozu dla siebie nie brał, ani żadnemu z oficerów brać nie dopuścił. Jam taki żołnierz jako i mój pocztowy i najniższy gemajne; może on tłuc się na koniu sto mil, mogę i ja także, i wy możecie, a nie tylko możecie ale i po rygorze wojskowym powinniście i musicie, bo na to ty oficer, abyś szeregom twoim przodował wszystkiem, więc i trudem i bezsennością i głodem, kiedy na to padnie, i abyś z tych wszystkich cnót i kapitalnych kondycyj rycerskich dawał dobry przykład z siebie. Taką perswazyę usłyszeli odemnie i do niej się też *accurate* stosować musieli.

Rozpoczął się mój marsz pod złemi auspicyami. Wydano mi ordynansy, wypisano rutę, a kazano czekać na pieniądze, bo ich w regimentowej kasie nie było. Termin wymarszu nadszedł i minął, a grosza żadnym ludzkim sposobem doprosić się nie było można. Chodź od Annasza do Kajfasza, tędy i tamtędy, suplikuj, gwałtuj, lamentuj — a wszystko na daremno. Ściągnięto po długiej i ciężkiej biedzie jakąś sumkę w końcu — o reszcie samemu pamiętać kazano.

Zaraz też ułożyłem marszrutę i jak należy, szachownicą puściłem się naprzód. Odkomenderowałem do szachownicy dwadzieścia ludzi z oficerem, ten zaś znowu forwachtami się wysunął naprzód, abym ja z chorągwią moją następując, wszędzie już dach i furaż mógł znaleźć. Ale co tam pomogła szachownica cała, i biedne nasze forwachty! Boże zlituj się, kiedybym tak miał wodzić regiment, a dajmy na to armię całą, toby mi jak garść lodu w garści stopniała po drodze; bo bywało tak w Polsce, że żołnierzowi w marszu zostawała takowa chyba alternatywa: Bądźże sobie opryszkiem, albo giń z głodu i od zimna!

Wiedziałem ja dobrze, że mnie słodycze nie czekają, do niewygód kampamentowych byłem wprawiony, a to mi nie była żadna nowina, że w naszej Rzeczypospolitej bywało zawsze po przysłowiu:

Hospitium vile,
Czarny chleb, cienkie piwo, bardzo długie mile.

Czegom wszelako nigdy się nie spodziewał, to owej nieuczciwej renitencyi a niegościnności ze strony panów szlachty. Gdzie się przywlokę, tam moi ludzie z szachownicy, trzy dni przodem wysłani, naprzeciw mnie bieżą, a lamentują

i skarżą, jako nietylko ani jednego źdźbła siana dla koni i jednego kęsa chleba dla chorągwi zaasekurować nigdzie nie mogli, ale ano i sami nic nie jadłszy, a pod Bożym namiotem kampowawszy, z głodu i zimna przymierają.

Idź do jednej wsi, szlachcic woła: „Mijaj Waćpan, mam libertacyą!" — idź do drugiej, szlachcic protestuje, jako ma libertacyą od wszelkiej kwatery i wojskowego ciężaru. I ten ma libertacyą, i tamten ma libertacyą, i ów ma libertacyą — miły Boże! — a czem dragona i konia nakarmisz, boć oni od głodu i ludzkich potrzeb nie dostali ani od Króla Jegomości ani od wojskowej komisyi libertacyi!...

Proś, groź, sumituj się pokornie — za nic to wszystko, bo owo pan szlachcic na wszystkie *onera* wziął libertacyą. Trzymajże teraz żołnierza kupą, aby w łotrostwo się nie rzucił, a i sobie nie wziął od rygoru a uczciwej karności libertacyi. Siła mnie to kosztowało, aby ludzi moich od gwałtów powstrzymać, a siebie samego w pasyi miarkować, bo cię pan brat szlachcic nie raz i grubem słowem poczęstował i despekt wyrządził. Płacę wszystko uczciwie, i to nie pomaga, i kieską i dobrem słowem ich nie ugłaskasz; przenocować ci nie dadzą. Trzeba sobie było radzić — to też w końcu nie pytając wiele, a na ordynans własny bacząc, musiałem mocą to rekwirować, co mi po miłej woli dać nie chciano. Owoż i wrzask i hałas okrutny, a pogróżki i skargi do komisyi wojskowej.

Zabierz szlachcicowi dwie wiązki siana, a on zaraz pełną gębę brzmiących argumentów weźmie i na papierze w lamentacye okrutne się rozsypie, i do Hetmana albo do komisyi wojskowej żałobę wyprawia; za miarę mizernego owsa i nędzny strawny traktament żołnierski do króla Jegomości *directe* pisze, a na *pacta conventa* się odwołuje, szumnie wywodząc, jako ta złota wolność Rzeczypospolitej i zacny stan szlachecki srogiego pokrzywdzenia, lezyi, gwałtu, tyranii, i Bóg nie wie czego jeszcze doznaje!

Ledwiem we Lwowie stanął, a już kilkanaście skarg takich z komisyi wojskowej na ręce pana generała Korytowskiego przyszło z nakazem, abym się ekskuzował; a ja komu miałem skarżyć i gdzie moich frasunków i przykrości dochodzić, i zapłaty się domagać? bom z racyi tego marszu i innych koniecznych wydatków *circa* siedmiu tysięcy złotych z własnego mieszka wydał, i tych nigdy od skarbu odebrać nie mogłem, a tak mizerny oficer ku szkodzie przychodził, byle pan brat szlachcic od najmniejszego ciężaru był wolen.

A jużbym tego wszystkiego łacnie zapomniał i wszystko przebaczył, ale później serce się krajało, a serdeczna boleść duszę zdejmowała kiedy się człek w lat sześć potem napatrzył własnemi oczyma, jak owa butna a narowista bracia szlachta, co ongi własnemu żołnierzowi lichej strawy i żołdu żałowała, Austryakom, kiedy kordonem wchodzili, piwnice otwierać musiała i stoły suto zastawiać, i jak lada kapral mizerny staroście nakazywał, a pan starosta ani słówkiem oponować nie śmiał. Owo masz tobie złotą wolność, a szlachecką dostojność!

Tak ciężko po drodze biedując nareszcie za łaskawą pomocą Bożą do Lwowa przymaszerowałem, a tak szczęśliwie, żem wszystkich ludzi i koni w najlepszym porządku i dobrem zdrowiu zachował. Trwał mi ten marsz całych dwa tygodni, a brałem się w nim na Górę, Mniszew, Kozienice, Sieciechów, Gniewoszów, Lublin, Krasnystaw, Zamość, Rawę i Żółkiew.

Nim jeszcze stanąłem we Lwowie, przydarzył mi się w marszu wypadek, którego opowieść zaraz tu kładę, bo nie tylko sam przez się był dziwny, ale i później we Lwowie w jeszcze dziwniejszej historyi miał swoją kontynuacyę i koniec. A już nie wiem, jak wam się ta moja przygoda wyda, i jaką tam o mnie z tej racyi mieć będziecie opinię: czylim też mądremi na wszystko patrzył oczyma, czylim też to za dziwy miał nienaturalne, co albo omamieniem albo szalbierstwem było; bom ja prostaczek był i jestem, i rad to sam zeznaję; a jakem na co patrzył, tak też i w naracyi mojej to mieszczę, niczego filozofią nie dociekając...

Kiedym z chorągwią moją do przedostatniej przede Lwowem stacyi dojeżdżał, to jest do Rawy ruskiej, wyjechali przeciw mnie ludzie moi z szachownicy z podoficerem, aby szwadron do miasta wprowadzić i kwatery wskazać. Jakoś im tym razem fortunniej się powiodło, bo dla ludzi i koni znaleźli opatrzenie, a całą chorągiew tak składnie rozlokowali, że jej rozrzucać nie było trzeba na kilka mil po wsiach sąsiednich, ale wszystko to jakoś kupą pomieścić się dało. Pytam wachmistrza, a gdzież mnie i panów oficerów postawisz? a on mi na to:

— Pod czterema wiatrami, Mości rotmistrzu!

Dobra mi kwatera, myślę sobie, znam ja ją

dobrze; nie raz i nie dwa razy w mojem żołnierskiem życiu do niej zajeżdżałem.

Podoficer widząc, że się uśmiecham, rzecze dalej:

— Jest, Mości rotmistrzu, karczma w tej tu mieścinie, co się tak zowie; najporządniejszy to dach w całej Rawie; tam panom oficerom kwaterę zakryliśmy.

Jedziemy tedy z oficerami i z jednym plutonem do owej karczmy pod czterema wiatrami, resztę chorągwi na wyznaczone miejsca już rozesławszy. Właśnie kiedy podjeżdżałem pod bramę, ujrzałem koło niej jakiegoś młodego człowieka, który stojąc, patrzał na nas wjeżdżających. Doświadczyłem tego w życiu, jako bywają ludzie, co figurą i widokiem swoim dziwną jakowąś robią impresyę, do duszy i pamięci się wciskając na długo, a czasem to już i na zawsze. Do takich ludzi należał i ów nieznajomy człowiek, którego cały aspekt był taki, że nie można było, popatrzywszy, zaraz od niego oderwać oczu. Ubrany był z cudzoziemska, w pończochach jedwabnych i we fraku, ale całkiem czarno i bez najmniejszego haftu złotego i burty, co na owe czasy rzadkością było, jako iż miłowano się bardzo w barwistych i wzorzyście tkanych bławatach. Na głowie nie miał peruki, ani też pudrowany nie był po modnym zwyczaju, ale włosy czarności połyskliwej bardzo krótko miał strzyżone i okryte kapeluszem czarnym bez żadnego galonu, a jeno z małą kitką z czerwonych kogucich piórek. Przy boku miał szpadę długą, w czarnej pochwie, a z rękojeścią stalową szmelcowaną, na pendencie czarnym, bez żadnej szarfy pozłocistej lub choćby najmniejszej ozdoby. Czarny długi płaszcz okrywał mu ramiona — zgoła nic na nim nie było jasnej barwy, prócz śnieżnej kryzy i żabotów z przedziwnych koronek, i nic świetlistego, prócz jednej wielkiej szpinki z dużym brylantem, która pysznym i lśniącym blaskiem jaśniała pod szyją, jakoby skry sypiąc, a za oczy chwytając.

Ale od tego brylantu takowej wielkości, żem całego żywota mego nie widział żadnego o podobnych proporcyach, chociaż później oglądałem ów po całym świecie słynny skarb brylantowy JPgrafa Walickiego, iskrzyły się bardziej oczy tego człowieka. Jako żywo, takich oczu i takowej ich piekielnej ognistości nie widziałem i widzieć nie będę, ano i nie chcę. Te duże oczy wydały mi się jakoby jakieś dwa czarne płomienie, jeśli tak rzec, nie jest *absurdum*, albowiem czarnych płomieni nikt nie widział, a i w gorączce obłąkanej nie imaginował sobie; a przecież tak było, albo mówiąc lepiej, tak mi się to zdało, iż gdyby fantazya ludzka czarny płomień wystawić sobie mogła, takiby on koniecznie być musiał, jak oczy owego człowieka.

Oculi scopuli, mawiano; a ja miałem w życiu mojem długiem mnogie tego a niezawodne znaki, jako niekiedy oczy ludzkie przedziwną a niewytłómaczoną mają siłę. A owo nie mówię o oczach gładkiego dziewczęcia, bo *in puncto* takowej słodkiej siły wy młodzi jesteście *experti*, ale o wzroku mężkim, który miewa władzę straszliwości albo dziwnego przymilenia, i albo cię jakowąś grozą przejmuje, albo ku sobie ciągnie, choć wyskocz ku niemu.

Znałem ja w pruskiem wojsku oficera, który miał taką straszliwość w oczach, a już najbardziej wtedy, kiedy był w pasyi, lub na rękę się z kim potykał, że choć gracz na szable nie był tęgi i celnie nie strzelał, zawsze górą bywał w pojedynkach, i z kim się bił, tego pewnie zarąbał. Jakoż wiaryby temu nikt nie dał, ano to prawda jest szczera, że najmężniejszego serca oficerowie a szermierze przytem najlepsi, tracili fantazyę i animusz, a wychodzili z rozprawy kalecy lub życie dawali.

Owoż chłopczyna mały, wyrostek nieletni, słaby i gładki jak dzieweczka, z pruskiej możnej rodziny, co był kornetem w naszym pułku, miał raz z owym smokiem przeprawę, a chcąc zachować honor oficerski, potykać się z nim musiał. Żal nam było dziecka, ale nie było rady. A przybył do regimentu naszego nowy felczer, Włoch, Vivaldi nazwiskiem; ten tedy rzecze do biednego korneta:

— Kiedy się bić będziesz, nie dbaj o szermierską regułę, a nie patrz przeciwnikowi w oczy, bo marnie pójdziesz — ale patrz mu na klingę, to serca nie stracisz i głowy ci ta bestya sroga nie utnie!

Jak rzekł, tak się i stało; kornet nie okiem ale klingą adwersarza się wodził, i owo patrzcie, nie tylko że sam obronną ręką z przyprawy wyszedł, ale i przeciwnikowi swemu gębę naznaczył — z której to walki Dawida przeciw Goliatowi w całym regimencie dziwu i śmiechu było niemało.

Ale owo sprawdza się na mnie przysłowie: *senectus garrula;* człek by chciał wszystko jednym

łasztem opowiedzieć, i z drogi zbiega, bo staremu łatwiejby jeszcze tysiąc jezdnych uszykować, aniżeli wszystkie reminiscencye w należytym utrzymać porządku.

Wracam już tedy co żywo do Rawy, do gospody pod czterema wiatrami i do owego czarnego nieznajomego. Otóż oczy te jego czarne a płomieniste jeszcze mnie bardziej olśniły, że twarz miał bladą a w jakąś sinawość wpadającą. Nos miał długi, ściągły i dobrze zakrzywiony, a około ust i na całej twarzy biegał mu ciągle uśmiech jakiś przykry a nieczysty. Już ja tego dobrze opowiedzieć nie potrafię, bom w słowach nie bogaty i swady kunsztownej nie wprawny — ale dość powiedzieć, że mi ten człowiek tak stanął przed oczyma, jakby żywcem ze snu ciężkiego był a nie ze świata i z pod Bożego słońca.

Mimo woli mej patrzyłem długo na tego człowieka, jakby na widziadło jakie, gdy naraz mój koń, który zawsze bywał spokojny i powolny, parsknął głośno i drżąc cały w szalonym skoku stanął dęba, tak gwałtownie a silnie w tył się odsadzając, żem omal co z siodła się nie powalił... Odwróciłem oczy od nieznajomego, szukając, czegoby mój koń tak się srodze nastraszył, i widzę, że mój siwosz omal nie nastąpił nogą na dużego kruka, który stał na samym progu wjazdowym. Ptak to był niepraktykowanej wielkości i nie bał się konia, ale nastawił mu się ostro, pierze najeżywszy. Zaskrzeczał głośno i przeraźliwie, a porwawszy się nagle z progu, czarnemi skrzydłami aż w oczy konia uderzył, i prosto siadł na ramieniu owego czarnego kawalera. Wstrzymuję silnie konia i gładzę go po najeżonej od strachu grzywie, aby go uspokoić, kiedy widzę, jak ta bestya czarna, ten kruk brzydki, ślepie na wierzch wysadziwszy, gruby dziób rozwarł i jakby ludzkim głosem, jeno tak przykrym i skrzypiącym, że aż po uszach chodziło, krzyczeć począł:

— *Arabet! Ar than! Arrathrran! Metatrran!*

Słowa te, które ten szpetny ptak przeraźliwie wołał, wbiły mi się w pamięć głęboko, chociaż takie były dziwaczne, a mnie całkowicie niezrozumiałe, bom je później we Lwowie słyszał jeszcze wiele razy. Nieznajomy podróżny zaśmiał się i chwyciwszy kruka ręką, rzucił go po za siebie całym impetem, kruk zaś padłszy na słomę w sieniach karczemnych, strzepał skrzydła, podleciał na poblizką drabinę i ztamtąd począł się wrzaskliwie śmiać, to jest naśladować śmiech człowieczy, jakby się i z kłopotu mojego i z gniewu swego pana niepoczciwie urągał. Nieznajomy podróżny ukłonił mi się grzecznie, dotykając kapelusza, jakby mnie chciał przeprosić, a ja też oddawszy mu ten komplement, zsiadłem z konia, i oddając go memu luzakowi, poszedłem do izby.

Dla nas wszystkich oficerów jedna duża izba przygotowaną była, a łóżek w niej nawet nie było, jeno siana świeżego nam naścielono. W stajni zaś karczemnej umieszczonych było jeszcze dziesięciu pocztowych moich. Przyjechaliśmy do Rawy już około południa, więc też nim się człowiek oczyścił, nim się posilił i odpoczął, a potem nim się rozrachował i rozpłacił za całą chorągiew — albowiem wczas to trzeba było zrobić, bo nazajutrz skoro świt mieliśmy wyruszyć w marsz dalszy — już i wieczór zapadł. Zeszliśmy się oficerowie do izby gospodniej, aby spożyć wieczerzę, jakiej dostać było można, i zapić kwaśnym cieńkoszem rawskim, co go nie wiem z jakiej racyi tytułem wina żyd karczmarz uhonorował — a było nas razem pięciu poruczników, tj. ja, dwóch pierwszych i dwóch drugich poruczników.

W izbie palił się duży ogień na kominie, a przy nim zastaliśmy owego czarnego kawalera. Siedział plecyma do nas obrócony, długie chude nogi wyciągnął naprzód przed siebie, i patrzył ciągle w żar ogniska. W ciemnym kącie koło komina siedział kruk jego i zdawał się drzemać, ale co chwila podnosił łeb do góry i chrapliwym głosem się odzywał, wyraźnie jak gdyby we śnie jakimś niespokojnym.

Wszystkich nas bardzo zdziwił i zaciekawił ten podróżny, ale już najbardziej jednego z młodszych moich oficerów, niejakiego Aksamickiego. A że w tej historyi, której opowieść teraz słyszycie, o nim mi mówić ciągle przyjdzie, więc tedy zaraz tu z początku umieszczę o nim wiadomość. Był ten Aksamicki synem jedynakiem bardzo bogatego mieszczanina warszawskiego, a służył w regimencie naszym nie z żadnej potrzeby, a tylko z fantazyi i wrodzonej do stanu żołnierskiego ochoty, bo miał szlacheckie aspiracye, i ani o handlu ani o innej żadnej kondycyi mieszczańskiej ani słyszeć nie chciał, w czem mu też ojciec jego folgował, majątku już dość nagromadziwszy, a syna bardzo miłując.

Młodziutki to był chłopak, urodziwy i przy-

jemny, a chociaż, jak rzekłem, z ochoty tylko służył, przecież statecznym i dobrym był oficerem. Myślałem, że kiedy mojej chorągwi do Lwowa ruszać kazano, on z pewnością albo służbę porzuci, albo do innej chorągwi się przeniesie a ze mną nie pójdzie i Warszawy nie opuści, w której zrodził się i wychował, i rodzinę miał swoją. Owo tymczasem zdziwił mnie niepomału, kiedy nietylko się nie zafrasował tym ordynansem, ale owszem rozradował się nim bardzo, wielką ochotę do marszu okazując. A była tego przyczyna taka, jak się przy tej sposobności dowiedzjałem, że miał on we Lwowie pannę swoją, która mu była przyrzeczona, a ku której miał affekt wielki i serdeczny. Była to córka lwowskiego kupca, Ormianina, nazwiskiem Wartanowicza, którą ojciec na dłuższy czas wysłał był do krewnych w Warszawie na edukacyę, a przed kilku miesięcy napowrót do Lwowa odwiózł. Aksamicki w Warszawie poznał tę panienkę i tu się owe strzeliste zaczęły amory.

(Dalszy ciąg nastąpi).

GAWĘDZIARZ.

BITWA CHŁOPSKA W GOŁAŃCZY.

Dawnemi czasy były powszechne bójki karczemne między parobkami różnych wiosek, do których się nieraz i żonaci gospodarze mięszali, a nawet czasem i kobiety w walce udział brały. Działo się to najczęściej na tańcach w karczmach, po nabożeństwie odpustowem urządzanych. Z powodu tego nieuszanowania odpustów powstało przysłowie: Odpust — rozpust. Do nieszporów modliło się wszystko w kościele, a potem tańce, hulatyka, pijatyka, bijatyka. Było niejedno dobre w dawnych czasach, ale było też wiele złego.

Jeszcze po dziś dzień opowiadają w Czeszewie, jakie to tam bójki staczali parobcy na odpust św. Trójcy. We wsi Wapno, gdzie gips kopią, żył parobek, zwany ,,Czarnym Kubą", który o kilka mil chodził na odpust, aby szukać bójki. Ten Kuba rzucał się na oślep, choćby z przeciwnej strony było kilkunastu parobków, mianowicie jeżeli mu pomagał Wach Sękaty, tak zwany od swej potężnej pałki z sękami. Niejeden parobek został przez nich kaleką, dwóch nawet zabili, a ilu było rannych, pobitych, potłuczonych? Ale jak to mówią, ,,nosił wilk, ponieśli i wilka". Czarny Kuba został tak ciężko zraniony na odpuście w Kcyni, że w kilka dni umarł, a Wach Sękaty w walce karczemnej w Łeknie obydwa oczy postradał, poczem chodził z torbami po świecie. Pod Dolskiem żył Maciek Twardy, ztąd tak nazwany, że miał łeb bardzo twardy, bo choć mu rozbijali czerep, czaszka zawsze się zrastała.

Pamiętną zostanie bójka w Gołańczy, 1824 r. stoczona, którą opisał Augustyn Wilkoński w książce pod nazwą: ,,Ramoty, Ramotki." Podajemy z tej książki krótki opis tego chłopskiego boju.

Otóż 2 lipca był odpust w Porcyunkuli w klasztorze gołanieckim, na który pojechał Wilkoński, dziedzic Łęgniszewa, z żoną i z synem Augustem. W drodze śpiewano godzinki, bo wówczas panowała w szlacheckich dworach wielka pobożność. Po odśpiewaniu godzinek zaczęła się rozmowa o tem i owem. Stary pan Wilkoński zauważył, że czerlińscy parobcy szli z gęstą miną, a nawet średniacy szli z kijami świeżo uciętemi. Różnica podówczas między parobkiem a średniakiem była

w okolicach Kcyni taka: średniak stał niżej od parobka, a wyżej od chłopców pasących bydło i konie. Średniak chodził w pole z sierpem, parobek z kosą; średniak mógł już młócić cepami, sieczkę rznął, ale na siew nie orał, pracował tylko za jadło i przyodziewek. Powierzchowna zaś różnica była ta, że parobek, idąc do kościoła, miał na sobie dwie długie, bardzo gęste od stanu fałdowane sukmany, siwą czapkę albo okrągły kapelusz, suto w pawie pióra strojny — w ręku niósł lagę, przez opaloną na niej słomę oczerwienioną, olejem dla połysku wysmarowaną, w cynę u góry oprawną, w ołów i żelazną skówkę u dołu opatrzoną, a zawsze sękowatą, bo była albo z jabłoni albo z głogu; — średniak szedł tylko w jednej sukmanie, włożonej na kaftan, pomiernie fałdowanej, na kapeluszu nosił mniej pawich piór, a kij jego bywał tylko świeżo ścięty dębczak bez oprawy, a nawet bez rzemienia do ręki.

Przy Gołańczy leżą wsie Morakowo i Chawłodno, których mieszkańcy często bójki toczyli. Czerlińscy parobcy i średniacy przyrzekli pomoc Morakowianom. Pan Wilkoński miał obawę, aby nie przyszło do bijatyki, kończącej się zwykle dotkliwemi karami, dla tego upomniał mocno Czajkę, włodarza, aby nie dopuszczał bójki.

Kiedy po nabożeństwie okoliczni panowie i panie jedli obiad w refektarzu klasztornym, na rynku gołanieckim rozpoczęła się straszliwa bójka chłopska. Już na 500 kroków od miejsca walki dochodził głuchy łoskot, podobny do bicia cepami, — były to uderzenia kijów po twardych czaszkach rozjuszonych wojaków. Wojciech Trzciel, bezżenny gospodarz z Czerlina, dyszlem z furmańskiej bryki wyłamanym, zmiótł jednym zamachem 5 czy 6 Chawłodniaków, a znów parobek Smoła ze wsi Tomczyce sztabą żelaza, ujętą ze sklepu Abrahama, łomotał parobków morakowskich, — po stronach bili się sękatemi kijami w młyniec, to jest po parze plecami swój ze swoim złączeni; pod ratuszową budką Walek Sobka, a Sobek Walka oburącz za długie włosy do ziemi przyciągał, przyczem jakaś odważna baba tłukła Sobka kamieniem po plecach. Żelazne skówki, połamane kije świstały daleko w powietrzu; tu i owdzie gdy kije były zepsute, zapaśnicy chwytali się w pasy i rzucali się o ziemię. Obok stał siodlarz Hoffman, który walił co siły w bęben i dwóch policyantów, naokół zaś wrzeszczały kobiety i żydówki — słowem był to rwetes nie do opisania.

Księża i panowie rozbroili walczących, a zaleciwszy surowo spokojność, kazali czemprędzej pójść do domu. Siedmnastu parobków było ciężko zranionych, o niektórych nawet sądzono, że życie z powodu skaleczeń zakończą.

W kilka dni odbywała się inna rozprawa w Gołańczy, gdy zjechali urzędnicy, aby wyszukać winnych. Słuchano świadków. Pierwszym był Żyd Herszek, w którego karczmie zaczęła się bitwa. Arendarz był w wielkim kłopocie, gdyż nie chciał nic powiedzieć na chłopów, pijących u niego co niedzielę, bo gotowi go omijać, a nawet dać mu pamiętne. Postanowił zatem tak odpowiadać, aby się nie narazić.

Sędzia pyta: Czy on jest dzierżawcą karczmy dworskiej, i czy był obecny w domu d. 2 sierpnia podczas odpustu Porcyunkuli?

Herszek: Kiedy ja z góry zapłacił dzierżawę, dla czego nie miałem być obecny?

Sędzia: Ja się nie pytam czyś dzierżawę zapłacił, czy nie, tylko żądam odpowiedzi, czy byłeś w szynku w rzeczonem dniu, czy nie byłeś?

Herszek: Dla czego nie miałem być?

Sędzia: Więc byłeś w domu.

Herszek: Moja żona była, moje zieci byli i ja bul.

Sędzia: Kłótnia, która u ciebie się rozpoczęła między chłopami z Chawłodna i z Morakowa, jakiż miała początek?

Herszek: Jaka kłótnia? żadne kłótni nie słyszałem.

Sędzia: I możesz to przysiądz w bóżnicy w śmiertelnej koszuli?

Herszek zbladł, a niedługo tak zaczął opowiadać zmienionym głosem: Prześwietne sądzie, kiedy ja mam przysiengać, to ja będzie powiedział prawde, szczyrną prawdę. Ja siedzieć za szynkwasem z człowiekiem, który się u mnie dowiadywal o jakiego slużby do sąsiednich państwa i kiedy ja mu rozmawiam, że może się dać na włodarza do pana Bredkrajcza z Morakowa, bo tam jednego odegnali, rychtyg wtenczas psiszedł Kube Łosiński z Chawłodna, a z nim wgarnęły się chłopy, bo już dzwonili w klasztorze po nabożeństwie, tak tedy Kuba ksiknął sobie ochoczo: Herszek! dać nam z Chawłodnia sztof wódki, więc ja psiestawszy gadać z tym człowiekiem psiechodnim, nachyliłem się do beczke i utoczyłem sztow gorzałki i podalem mojej córce, aby chawłodzkim ludziom na stół zaniosła,

a temczasem stał już przed szynkwasem sołtysiak z Morakowa i wołał: „Herszek dla nas 2 sztofy i podało się w dwóch gąsiorach i blaszane statki i pytać się, czy mu nie potrzebny kołacz albo żytnie gryski na poczęstne.

Sędzia: I cóż dalej?

Herszek: Prześwietny sądzie oni jeszcze nic nie dali, bo się dopiero żniwa rozpoczęli, więc się do jesieni kredytuje znajomym parobkom.

Sędzia: Głupi jesteś, ja się pytam, co się następnie działo.

Herszek: Co się miało dziać? Chłopy pili wódkę.

Sędzia: Któż rozpoczął kłótnię.

Herszek: Ny was haist, żadnej nie było kłutnie.

Sędzia: Więc przysiężesz, żeś nie słyszał żadnej kłótni.

Herszek: To jest ten Kube z Chawłodna bardzo głośno rozmawiać z sołtysiakiem, tego ja slyszal.

Sędzia: Któryż którego pierwej uderzył?

Herszek: Żadnego uderzyl! dla czego mial uderzyć, ja nic nie widzial ja nic nie wiem.

Sędzia: Słuchaj, Żydzie, jeszcze ci raz powtarzam, że to wszystko, co do protokółu podajesz, dzisiaj jeszcze w bóżnicy przysięgą stwierdzisz.

Herszek: Prześwietny sądzie, ja bez przysięgi mogę żadnego fałszu nie dyktować. Jak ten Kube dycht głośno z sołtysiakiem rozmawiał, tak Kube, miawszy kij w ręku, położył go na sołtysiaka ale go zaraz wziął precz.

Sędzia: A więc Kuba bił sołtysiaka.

Herszek: Uchowaj Boże, ja tego nie powiedzieć.

Sędzia: Przecież powiedziałeś, że Kuba położył kij na sołtysiaka.

Herszek: Ale go zaraz wziął precz.

Sędzia: A sołtysiak czy także kładł kij na Walka?

Herszek: Sołtysiak także położył.

Sędzia: Któryż którego pierwej skaleczył?

Herszek: Jakiego skaliczył, ja nic o tem nie wiedzieć.

Sędzia: A przecież była krew i do dziś dnia są czerwone plamy na podłodze.

Herszek: Krew była, prawda, dycht czerwone, katolickie, ale aby jeden drugiego skaleczyć, tego ja nie wiem. Może ta krew z Kubowego kija się wzięła, bo taki kij bul czerwony jak krew a może skądinąd, ja nie wiem, ja nie patrzeć, ja zamknąć oczy, a krzyczeć: aj waj, aj waj!

Wszyscy przytomni nie mogli się wstrzymać od śmiechu, słysząc zeznania Herszkowe. Sprawa zakończyła się dosyć pomyślnie, gdyż głównie za staraniem młodego Wilkońskiego większą część chłopów uwolniono, a kilku tylko skazano na kilkodniowe więzienie.

Parobcy okazali się wdzięcznymi paniczowi, gdyż dnia 28 sierpnia w dzień jego imienin, wysłali doń poselstwo z sześciu parobków i z dwóch dziewcząt złożone, którzy świątecznie ubrani, powinszowali mu imienin, podziękowali za opiekę, oraz złożyli w podarku orzechy laskowe i miód w świeżych plastrach. Był ten Augustyn Wilkoński wielki miłośnik ludu wiejskiego.

Nie zawsze kończyły się tak pomyślnie bójki, jak gołaniecka. Czasem na kilka lub kilkanaście lat szli parobcy do domu karnego, zkąd niejeden nigdy nie wyszedł. Jeszcze i dziś niejednego świerzbi ręka w karczmie. Dajcie pokój pijatykom i bijatykom, bo ztąd tylko wynikają gniewy, nienawiść, nieszczęście, zgorszenie, a nadewszystko obraza Boża. Zgodą, bracia mili, zgodą — miłujcie się wzajemnie, dopomagajcie sobie, a nie minie was błogosławieństwo Boże.

OPACTWO CARROW

— PRZEZ —

J. F. SMITH

Z ANGIELSKIEGO

CZĘŚĆ PIERWSZA:

ZAMEK CARROW.

(Ciąg dalszy.)

Nakoniec upadła chustka na ziemię; ogień błysnął i huk przeraźliwy rozległ się jednocześnie w powietrzu; zdawało się, jakby tylko jeden strzał dano. Miran zachwiał się i upadł, kula z pistoletu Henryka Ashton; który stał żywy i nietknięty, przeszyła mu biodra.

— Trafiony, o nieba! — zawołał kapitan Elton, schylając się ku niemu.

— I to w niebezpieczne miejsce do tego! — dodał zimno jenerał. — To coś osobliwszego! Nie widziałem, aby kiedy chybił! wszak to najlepszy strzelec w całej Anglii.

Przypatrujący się niespokojnie pojedynkowi Khan, w nadmiarze żałości, stracił zupełnie władzę nad sobą. Pałając żądzą ocalenia Henryka, zapomniał całkiem o tem, że życie Mirana mogło być także narażone, i gorzkie zaczął sobie czynić wyrzuty, podnosząc z ziemi bezwładne ciało swojego wychowanka i usiłując chustką zatamować krew z rany tryskającą.

Tymczasem Walter Mowbray ściskał w milczeniu rękę przyjaciela, któremu serce gwałtownie bić poczęło, nie tak z radości, że cudownym prawie sposobem śmierci uniknął, ale z litości dla ranionego rywala.

— Czy pan sądzisz, że rana jest śmiertelną? — zapytał kapitan Elton jenerała, który z miną znawcy oglądał ciało Indyanina.

Stary wojownik wzruszył ramionami w milczeniu.

Henry Ashton zbliżył się do grona. Na jego zbladłych licach malowało się zmartwienie bardziej niż tryumf. Myśl okropna, że jeden z jego bliźnich padł z jego ręki, wtrącony do grobu w kwiecie wieku, boleśnie przytłaczała jego młodą, niewinną duszę. Pragnął serdecznie zamienić z nim wyrazy pojednania, uścisnąć rękę, która przed chwilą groziła jego życiu.

— Czy jest niebezpiecznie raniony? czy mógłbym w czem być pomocnym? — zapytał.

Jenerał i kapitan okazali swoje zdziwienie na takie pytanie. Sprzeciwiało się to wszelkim przyjętym zwyczajom, aby Miran miał odbierać pomoc jakąkolwiek z rąk szczęśliwego przeciwnika.

— Oddal się ztąd! — zawołał Khan rzucając na niego dzikie spojrzenie; wyrzuty sumienia, które go przed tem dręczyły, zostały teraz przytłumione boleścią, jaką w nim wzbudziło niebezpieczeństwo jego młodego pana, którego trzymał w swem objęciu, opierając na kolanach głowę omdlałego. — Przelałeś najszlachetniejszą krew Indyi i czuję żem ci pomagał do tego!

— Ty! — przemówił młody Ashton.

Walter Mowbray, jenerał Bouchier i kapitan spojrzeli zdziwieni jeden na drugiego. Pierwszy raz usłyszeli starca przemawiającego po angielsku. Mniemano powszechnie, tak w Lon-

dynie jak w Bungalore-Hall, że Khan nie zna innego języka prócz indyjskiego.

Tymczasem Marcin i Joe Beans przybyli na plac, który był widownią tych wydarzeń. Radość młodego parobka, gdy ujrzał panicza swojego zdrowego i nienaruszonego, nie mogła nawet być powściągnioną widokiem rannego Mirana. Głuchy, przytłumiony śmiech wymknął się z ust masztalerza, gdy dosłyszał słów renegata; rozjaśniało się jego oblicze nagle, albowiem znalazł czego szukał: tajemniczy gość w kościele Carrowskim umiał po angielsku!

— Wiedziałem dobrze o tem, że go zła pię na trenzlę? mruknął pod nosem.

Mirana ciągle zemdlonego, Khan zaniósł do powozu, trzymając go na rękach i płacząc nad nim, jak ojciec nad synem. Potem zwracając się do młodzieńca, któremu ocalił życie, przemówił doń z tą wymuszoną spokojnością, która bardziej niż gniew wyraża nienawiść niepojednaną:

— Nie ciesz się zawcześnie zwycięztwem! Uszedłeś cało z rąk twojego rywala, ale nie unikniesz mojej zemsty! Jeżeli Miran umrze, będę cię ścigał po całej ziemi, całą krew w żółć przemieniłeś i gorycz wlałeś w moje serce.

— Cicho bądź, człowiecze! — zawołał Marcin z oburzeniem, — dziwię się, że te wyrazy nie spaliły ci złośliwego języka! Ale ty byłeś zawsze gburem i mściwym złośnikiem!

Renegat spojrzał na niego z zadziwieniem i nagle się uspokoił. Widocznie szukał w pamięci, kto mógł być ten starzec, którego znać mniemał.

— Niedołęga! — mruknął.

— Niedołęga! — powtórzył Marcin uszczypliwie bo te słowa ukłuły do żywego jego humor kłótliwy i uparty. — Aha! myślisz że cię nie poznaję! Nie byłem niedołęgą przed dwudziestu pięciu laty, kiedym się bił z tobą i obaliłem cię tam, koło kamieniołomu, w dzień imienia squire Harweya? Zapomniałeś, że kapitan jest takim łotrem jak ty?

Niewyraźnie już domruczał masztalerz resztę swoich wspomnień. Pojazd zwolna się oddalał, a starzec nie mogąc pochamować swojego oburzenia, które mu język rozwiązało, przynajmniej dla nikogo zrozumiałem nie zrobił swojego odkrycia, bo tak mówił cicho, że go nikt nie dosłyszał. Był on widocznie w przystępie zapalczywości. Idąc wielkiemi krokami przez błonie, zbijał swoim batem wierzchołki kwiatów i chwastów, które mu się w drodze nawinęły. I to z takim wykonywał zapałem, że łatwo się można było domyśleć, iż potrzebował na kim lub na czem wywrzeć swoją niechęć i zły humor.

Walter i Henryk przypomnieli sobie twierdzenie Marcina w dniu, kiedy Khana spotkali w kościołku, że w razie, jeżeli cudzoziemiec mówi po angielsku, założyłby się, żeby go zawołał po imieniu. Nie wątpili teraz, że Marcin wie, kto on jest rzeczywiście. Nasz bochater dziwnego doznawał wzruszenia na tę myśl. Wiedział, że ten nieznajomy nie mógł być Ryszardem Musgrove, bo ojciec Mirana downo już nie żył. Zresztą ci co go znali, opowiadali, że syn starego klucznika miał jasne włosy. Ten zaś tajemniczy starzec był brunetem tak, jak młody Ashton. Ta okoliczność, równie jak oświadczenie Khana, że mu życie zachował, chociaż młodzieniec nie mógł pojąć kiedy i w jaki sposób, naprowadziły go na pytanie, czy to nie był jego ojciec?

Im dłużej się nad tem zastanawiał, tem bardziej przejmował się tą myślą, która w końcu prawie niewątpliwą mu się wydawała.

— Marcinie! — zawołał Walter na starego dojeżdżacza, który nie przestawał okładać nielitościwie swym harapem wszystkie krzaki i zarośla, jakie mógł dosięgnąć.

Stary zatrzymał się i podniósł rękę do kapelusza. Chociaż dyszący gniewem, nie zapomniał, że Mowbray do niego mówi: pomimo wszelkich swoich dziwactw, zachował największe poważanie dla rodziny, której służył nie dla zysku, ale z istotnem poświęceniem.

— Zrobiłeś odkrycie? — zapytał Walter gdy się zeszli.

— Hm, hm! — mruknął Marcin zacisnąwszy zęby.

— Widoczna to, że cię znał ten cudzoziemiec.

— Jak to pan możesz wiedzieć? czy może dla tego, że mnie nazwał niedołęgą?

I wydał śmiech syczący, przytłumiony, jakby przypomnienie tego wyrazu niezmiernie mu było przyjemnem.

— Nie dla tego, — odparł Walter uśmiechając się z pociesznej miny starego sługi, — ale widziałem to po jego zmięszaniu, gdyś mu wspomniał o jakiemś wydarzeniu, które dawniej

zaszło między wami. Prócz tego wiem, że jesteś jednym z tych ludzi roztropnych; którzy dwa razy pomyślą, nim co powiedzą.

— I to właśnie myślę zrobić teraz, panie Walter, — odrzekł z uśmiechem. — Za stary lis ze mnie, abym się dał złapać, choćby sidła miodem były okryte. Straciłem gust do słodyczy... nie zwabi mnie nikt na nie!

Po tych słowach poszedł dalej, ukłoniwszy się bratankowi swojego pana; nie uchybił bowiem nigdy należnego uszanowania wszystkim tym, którzy choćby najdalej spokrewnieni byli z rodziną Mowbray.

Henryk uważał w czasie tej rozmowy, że stary unikał skwapliwie spotkania z jego wzrokiem, co go jeszcze bardziej utwierdzało w domysłach, że renegat był jego ojcem; postanowił koniecznie tę rzecz wyjaśnić, bo niepewność była mu nieznośnie przykrą.

Dwaj młodzi przyjaciele umówili się, aby Walter naprzód pospieszył do zamku dla oznajmienia stryjowi i Ellenie o skutkach pojedynku. Tym sposobem spodziewali się oszczędzić młodej dziewicy zbytecznego wzruszenia, bo radość niespodziewana równie zabić może jak nadmiar boleści.

Skoro minęli domek stróża zamkowego i dostali się w obręb zwierzyńca, rozłączyli się, Walter pospieszył do mieszkania, Henryk zaś udał się w stronę stajen za masztalerzem.

— Marcinie, Marcinie! — zawołał, gdy stary otwierał drzwi do swej ulubionej siedziby, — mam ci słówko powiedzieć, jedno tylko.

Ale przybywszy do progu, zastał już drzwi z trzaskiem zamykające się, i usłyszał pociągnięcie zasuwki. Widocznie stary nie chciał odpowiadać na jego pytania, ani być odrywanym od swych dumań.

— Co za niedobry stary czarownik! — wykrzyknął Joe Beans, postępujący za swoim paniczem. — Ale ja go ztamtąd wyprowadzę!

Henryk potrząsał głową; znał lepiej niż Joe dziwaczny upor starego.

— O ja go zmuszę wyjść! — mówił chłopak, — wyciągnę go ztamtąd jak borsuka z nory! — i zaczął stukać we drzwi nogą i pięścią.

— To nadaremnie! — rzecze Henryk z westchnieniem, — jeżeli sobie postanowił zachować milczenie, niepodobna go zmusić do mówienia. Zresztą, mam cię prosić o jedną przysługę.

— Doprawdy? cóż to takiego, master Harry? Boże dobry! jakże mnie to cieszy że cię widzę i całym i zdrowym, oswobodzonym ze szpon tych wszystkich pięknych panów, którzy nic sobie z tego nie robią, zabić człowieka, jak ja bym zastrzelił królika! Bardzom rad żeś postrzelił tego młokosa!

Przysługa, jakiej żądał od niego Henryk, zależała na tem, aby Joe pobiegł co tchu na folwark oznajmić dzierżawcy i jego żonie, że ich bratanek nie został raniony, wiedział bowiem, ile ich przerazi i niespokojności nabawi wiadomość o jego pojedynku.

Parobczak pospieszył niezwłocznie. Przedewszystkiem był on przejęty chęcią doniesienia o pomyślnym skutku dla jego młodego pana nietylko obojgu starym stryjostwu, ale i drugim sługom pragnął powiedzieć, że panicz postrzelił tego bogacza indyjskiego, jak nazywano Mirana w okolicy. W swojem prostodusznem wyobrażeniu mniemał, że cała wieś powinna być dumną z tego zwycięztwa nad cudzoziemcem odniesionego.

Nasz bohater zdążał tymczasem ku zamkowi, pełen niecierpliwości i smutku zarazem.

XXVII.

— Biedny złamany kwiatku! — rzekł baronet, pochylając się nad Elleną, która po odjeździe narzeczonego, zwalczona boleścią i rozpaczą, padła na krzesło przy oknie stojące. — Zmartwienie jak rdza trawiąca upadło na sprężynę twego młodego żywota, niszcząc wątłe kwiaty, które tak chlubne zapowiadały nadzieje! Taki to mój los nieszczęsny! — dodał z westchnieniem, — przekleństwo jakieś cięży nademną! Zaledwie jakaś słodka pociecha zacznie łagodzić smutek mego serca, a już nieszczęście co tchu przybywa, by je nowym rozranić ciosem!...

— Henryku! Henryku! — szeptała nieszczęśliwa dziewczyna, przychodząc do zmysłów, i odzyskując nanowo, z podwojoną goryczą czucie grożącego jej nieszczęścia. — Oszczędzaj jego życie, Miranie, przez miłość dla biednej Elleny!

Błagalny dźwięk głosu, jakim te słowa wywyrzekła, byłby zdołał wstrzymać zamach anioła niszczyciela, niosącego śmierć i spustosze-

nie. Było to jakby ostatnie westchnienie konającego, jak modlitwa przedśmiertna, na ustach zmrożonych zimnym grobu powiewem. Gdyby ten, do którego było zwrócone to wezwanie, mógł je usłyszeć, możeby zmienił swe groźne zamiary. Ale ten jęk wzruszył tylko do głębi samotnika, który silnej doznał pokusy udania się na plac boju, by przeszkodzić pojedynkowi.

Ale zastanowienie wstrzymało go; pojmował że to byłoby bezskutecznem. Jakiem prawem mógł żądać, aby młodzian poddał się upokorzeniu, któreby nań ściągnęło pogardę najżyczliwszych nawet przyjaciół; aby zniósł szyderstwa świata, aby się naraził na wykluczenie z tego społeczeństwa, którego próg zaledwie dopiero niedawno przekroczył? Pomimo że wiele czytał i wiele się zastanawiał, baronet był tylko na pół filozofem. Rozsądek wskazywał mu prawdę, ale nie miał moralnej odwagi żyć podług niej. Zachował pewne przesądy swej kasty, i czuł to dobrze, że gdyby jego ulubieniec nie był przyjął wyzwania swego rywala, zapora nieprzebyta stanęłaby na zawsze między nim a Elleną.

Wszelako gwałtowną była walka wewnętrzna, jaką staczał sir William.

— Zabiją go! — krzyknęła miss Vere, zrywając się nagle z krzesła, by się rzucić wujowi na szyję. — Wuju najdroższy! czyż go nie ocalisz? On ciebie posłucha, bo cię kocha i czci jak ojca! Zbyt jesteś dobry, abyś miał ścierpieć by on ginął! — dodała z coraz większą żywością; każda chwila opóźnienia była wiekiem udręczenia dla nieszczęśliwego dziewczęcia.

— Może powrócić nieuszkodzony z tej walki! — mówił wuj dla uspokojenia strwożonej jej wyobraźni.

— To rzecz niepodobna! niemożliwa! — odpowiedziała ze łkaniem dziewczyna, rzucając się znów na krzesło, prawie bezwładna; — Mirana strzał nigdy nie chybił celu. Widziałam jak orła trafiał w locie. Boże mój, Boże! moje serce nie wytrzyma tego ciosu! Oboje razem pomrzemy!

Sir William używał wszelkich sposobów, jakiemi przywiązanie ojcowskie i najszczersze współczucie natchnąć mogą, by uśmierzyć jej rozpacz. Wszystko to było nadaremne; siedziała jak posąg z marmuru, z oczyma w ziemię utkwionemi, krew zdawała się zastygać w jej żyłach; lica jej okryte były śmiertelną bladością, czuła że jej życie nie miało żadnej przyszłości, że zniszczenie i pustka ją otacza.

Milczenie ponure panowało w zamku; nie słyszano najlżejszego szelestu. Domownicy domyślając się, co się stało, unikali zbliżyć się do komnaty; zbyt szanowali boleść swego pana i jego siostrzenicy, aby się odważyli być natrętnymi w tej chwili. Z wyjątkiem piastunki, modlili się wszyscy o powodzenie dla Henryka, który się stał ulubieńcem całego domu. Przeciwnie znowu działo się w sercu Zary; oczy jej jaśniały radością, tak była pewną zwycięztwa swego wychowanka. Nienawidziła młodego Ashtona, uważając go za jedyną przeszkodę małżeństwa między Elleną a Miranem, a zarazem powrotu z nimi do Indyi; nienawidziła go w dwójnasób od tej chwili, kiedy upokorzył Mirana, który był w jej oczach bożyszczem.

Przeszło dwie godziny Ellena i jej wuj siedzieli w milczeniu pogrążeni; trwoga młodej dziewczyny uczyniła ją niezdolną do słuchania wyrazów pociechy, a baronet czytał w jej zbladłej twarzy, i w jej obłąkanym wzroku, że wszelkie usiłowanie wyrwania jej z tej rozpaczy byłoby próżne. Jedna tylko rzecz potrafiłaby ją pocieszyć i nowem życiem rozpromienić jej oblicze, to jest powrót Henryka, ocalonego z tej walki, a co teraz istotnie uważał za niemożliwe po tem, co mu Ellena opowiadała o zręczności niezrównanej Indyanina w używaniu palnej broni.

W tem dał się słyszeć chód lekki na wschodach, do ganku zamkowego wiodących. Ellena zerwała się niby przebudzona z zadumy; ten szelest wyrwał ją z ponurego zamyślenia, zaczęła się przysłuchiwać; kołysana między nadzieją i obawą, słuchała sercem, jak to zwykła czynić kobieta, oczekująca powrotu ukochanej istoty.

Kroki się zbliżały, już słychać je było w korytarzu.

— To nie on! — rzekła.

— To chód Waltera! — zawołał baronet, — chód to lekki i swobodny. Nie jest to krok przyjaciela, niosącego wieści smutne! odwagi! jest nadzieja!

Dotknięto klamki; sierota chciwie na drzwi spoglądała; chwila poprzedzająca otwarcie podwojów, wiecznością jej się zdawała... Wszedł wreszcie Walter do pokoju z uśmiechem na twarzy, z ręką wyciągniętą do uściśnienia podanej mu dłoni, którą najpierwej spotka. To było do-

statecznem dla Elleny; nie potrzebowała się pytać aby mieć pewność że ocalony jej kochanek. Z okrzykiem radości, jak ptaszyna, co umknęła ze szponów drapieżnego sępa, rzuciła się ku wchodzącemu kuzynowi, który ją uchwycił w swoje objęcia.

— Żyje! Elleno, żyje! i nie odniósł żadnej rany! — szepnął jej, całując blade i łzami zwilżone lica ciotecznej siostry.

Baronet serdecznie uścisnął dłoń bratanka. Żaden posłannik nie był mu nigdy tak miły. W szlachetnej przyjaźni Waltera ku Henrykowi, wolnej od wszelkiej zazdrości i samolubstwa, było coś tak szczytnego i ujmującego, czem coraz więcej zjednywał sobie serce sir Williama Mowbray.

— Jeżeli przeznaczenie odmówi mi tego szczęścia, bym uściskał mojego syna, będę mieć przynajmniej dziedzica, który godnie nosić będzie moje nazwisko! — pomyślał w duchu.

Wchodząc w progi zamku, Henry Ashton spotkał Zarę, która na jego widok niby piorunem rażona, osłupiała. Lecz wkrótce wyraz zdziwienia na jej śniadem obliczu zniknął, a wzgarda miejsce jego zastąpiła; nie mogła nawet wyobrazić sobie, żeby jako zwycięzca wyszedł w walce z tak zręcznym przeciwnikiem, to jej się wydawało rzeczą niemożliwą; wszak strzał Mirana nie mógłby chybić rywala.

— Uciekł! mówiła sama do siebie, widząc młodzieńca niecierpliwie wstępującego po schodach, by pospieszyć do Elleny; — uciekł jak pies przed moim szlachetnym wychowankiem! Teraz musi nim pogardzić, bo jest dumna; znam dobrze jej serce wyniosłe, które niezdolne kochać tego, kogo szacować nie może. Odepchnie go od siebie, choćby miała umrzeć z żalu!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

PRZECZUCIE.

Powiastka.

Pani N. wdowa po zacnym ale ubogim wojskowym, była od lat trzech w najokropniejszym niedostatku. Położenie jej, wspólne wielu nieszczęśliwym, smutniejsze było od losu ulicznych żebraków, bo ona wyciągać ręki nie śmiała, i nikt o jej rzetelnej nędzy nie wiedział, prócz Boga.

Pani N. niegdyś wiodła życie wcale inne; przy jej rządzie i pracowitości żołd męża wystarczał na skromne ale uczciwe utrzymanie; była nawet i sługa, bywali niekiedy i goście. Tem boleśniejszym wydawał się jej stan obecny; a tem cięższej go znosiła, iż zostało jej po mężu dwoje dzieci, z których starszy Józio miał dopiero lat pięć, a młodsza Zosia półczwarta roku. Bez wątpienia pani N. w samym kwiecie wieku będąc pracować mogła; z pracy też własnej utrzymywała się wraz z dziećmi; przez całe trzy lata żyła z igiełki; ale jakież to było nędzne życie i jaki trudny zarobek! — Nie wszystkim to jest wiadome, (gdyż mało kto wystawić sobie umie, czego sam nie doświadczył) jak mało ma czasu do roboty kobieta, która bez żadnej będąc usługi, jako tak domek swój i dzieci dwoje codzień opatrzyć chce; same zachody koło koniecznego ochędóztwa, sama naprawa biednej odzieży, już połowę dnia zajmą; jednak pani N. częściej jeszcze na brak roboty, niźli na brak czasu, narzekała; i zwała te chwile szczęśliwemi, kiedy miała jej tyle, iż w nocy szyć musiała, a kosztem zdrowia i oczów jeden złoty na dzień zarobiła. — Złoty! jakiż to pieniądz mały, zwłaszcza w Warszawie, gdzie wszystko drogie; i kiedy trzeba za niego opatrzyć wszystko dla trojga osób, mieszkanie, opał, światło, ubiór, pranie; a przecież i jeść trzeba, zwłaszcza drobnym dzieciom, które rosnąc częstego i pożywnego wymagają pokarmu. — Biedna pani N. ledwie dziesięć groszy miała dzień na dzień na swoje i dzieci wyżywienie; pomyślna też była ta niedziela, kiedy z funta mięsa rosół ugotowała, albo kaszy grubej z mlekiem dała dzieciom; reszta dni na kartoflach z solą i suchym razowym chlebie schodziła. — Przyszła pora, że i tej nędznej strawy brakło. Zosia ciężko zachorowała w począt-

kach wilgotnej wiosny i zdawało się, że nie przetrwa zapalnej gorączki i okropnej w piersiach duszności. — Wiedzą dobrze matki, co się dzieje w ich sercu, kiedy jedno z ich dzieci niebezpiecznie zachoruje. Wszystko znika, wszystko jest niczem obok chęci uratowania dziecka, obok nieszczęścia jego straty. Pani N. nie myśląc też bynajmniej, co potem będzie, ani co da jeść córce, gdy wyzdrowieje, wydała do ostatniego grosza, zastawiła niemal ostatnią koszulę, na pijawki, lekarstwa, ulepki; a gdy lekarz, który bez zapłaty codziennie przychodził, oświaczył jej, że już żadnego nie widzi niebezpieczeństwa, w radości swojej wzniosła dziękczynne ręce do Boga; szczęśliwszą była od królowej na tronie, i żałowała tego jedynie, iż poczciwego a ubogiego lekarza złotem obsypać nie może.

Ale wnet nędza ukróciła tę czystą radość. Przy chorem dziecku tyle jest zajęcia; z trudnością wielką dokończyła pani N. zaległej roboty, a gdy przyszło starać się o nową, jeszcze z większym oporem szło dostanie jej, dla tego, że z dawną nie stawiła się na słowie. Były tedy dnie takie, w których przychodząca do zdrowia Zosia na troszce mleka i kawałku suchej bułki przestać musiała; Józio miał skibkę chleba czarnego, a matka nic prócz wody.

Już pani N. w rozpaczy pasowała się sama z sobą, czy nie wyjdzie z dziećmi na ulicę i żebrać nie będzie; lecz cała jej dusza wzdrygała się na tę myśl samą; szukała więc innych jakich sposobów ratunku, modliła się gorąco do Boga, aby ją natchnąć raczył, i jednego wieczora właśnie w dzień S. Bonifacego, bądź we śnie, bądź na jawie, powstało w niej jakieś głębokie przeczucie: iż w Czerniakowie skończy się nędza jej; a skoro pielgrzymkę do tego świętego miejsca odprawi, własne i dzieci szczęście znajdzie.

Każdemu prawie jest wiadomo, że niedaleko Warszawy, w Czerniakowie, jest kościół założony w siedmnastym wieku przez hetmana Lubomirskiego, a w nim złożone są kości S. Bonifacego, przy których modląc się, zwłaszcza w czasie rocznego odpustu, wiele już osób doświadczyło różnych dowodów łaski Boga; ale nie każdy wiedzieć może, jakie szczególne nabożeństwo miała pani N. do tego miejsca. — Sierota od samego dzieciństwa, wychowana była jakby z łaski u dalekiej krewnej, i chociaż dosyć obfity bardzo gorzkim był jej ten chleb. W ośmnastym roku życia zdarzyło jej się być pierwszy raz w Czerniakowie, na odpuście, i tam poznała porucznika N. On wkrótce pokochawszy ją, ożenił się z nią i najlepszym był mężem. Rachując szczęście swoje od mszy słuchanej w czerniakowskim kościele, jeszcze za życia męża co rok zbierała się odprawić pielgrzymkę pieszo do tego miejsca; słabości częste, zmiany kwatery ciągłą przeszkodą jej były, aż nareszcie zaskoczyło ją nieszczęście, i o wszystkiem zapomniała. Dopiero, owego (jak wspomnianem było) wieczora, stanął jej nagle Czerniaków i S. Bonifacy na myśli, a obok tego obrazu wzbiły się najmilsze przeszłości wspomnienia i jakaś błoga na przyszłość nadzieja. „Niech się dzieje, co chce — powiedziała sama w sobie — ja iść muszę do Czerniakowa wraz z dziećmi; właśnie początek jest maja, czas rocznego odpustu, dni piękne, moja Zosia już zdrowsza; pójdziemy, i Bóg nas pocieszy!" — I jak powiedziała, tak zrobiła. Dokończyła danej roboty, dostała za nią parę złotych, posiliła dzieci i siebie, ubrała je, jak mogła najlepiej, a dwunastego maja prawie o wschodzie słońca wyruszyła z Warszawy czerniakowskiemi rogatkami. — Z początku podróż udawała się bardzo dobrze, nawet mała Zosia szła chętnie piechotą; czyste powietrze wiosenne ożywiało ją, lecz wkrótce narzekać na nóżki zaczęła i płakać mówiąc: że dalej iść nie potrafi. Wzięła ją pani N. na ręce, lubo sama zmęczenie czuła; w takim niedostatku życie, bez snu dostatecznego, bez pożywnego jadła, osłabiło kwitnące niegdyś jej zdrowie; wlokła się więc z trudnością odpoczywając często; i słońce już na dół nieba się wzbiło, kiedy ona jeszcze na pół drogi nie była.—„O Boże! — mówiła — „daj aby tyle siły, żebym przed nocą u drzwi kościoła czerniakowskiego stanęła; cóż pocznę, jeśli tu na gościńcu zostać do jutra przyjdzie?" — Nie wiedziała, iż Bóg na każdem miejscu ratunek ześle, skoro zechce. Jakoż słońce zaszło, a pani N. mimo całej usilności swojej jeszcze daleko była od Czerniakowa, gdyż zaledwie dostrzegała dzwonnicę kościoła. Zupełnie z sił wycieńczona, ani sama iść kroku jednego, ani tem bardziej dziecka dźwigać nie była w stanie; Józio także dotąd dosyć rześki, upadł zmęczony; zsunęli się więc wszystko troje do rowu obrosłego świeżą murawą i pani N. już nic przed sobą nie widząc, prawie bez przytomności, pewna, iż tak im umrzeć już przyjdzie, tuliła tylko dzieci śpiące koło siebie mrucząc więcej sercem niż ustami słowo: „Boże, o Boże!" kiedy nagle usłyszała nad sobą przychylną i litościwą mowę. Dwoje ludzi w wieku,

prosto ale porządnie ubranych, mężczyzna i kobieta, idąc ze strony pola ku gościńcowi, obaczyli tę matkę z dziećmi i odgadli jej nieszczęście. — Byli to dawni dworscy zamożnego tamtych okolic pana; w nagrodę długich i wiernych usług, dostali od niego wiecznem dziedzictwem, niedaleko Czerniakowa, kawał gruntu i porządną chatę; w niej od lat kilkunastu mieszkali, a ich pole, które właśnie kartoflami obsadzali, dochodziło do gościńca. ,,Jakażto nędza — mówiła kobieta — patrz, Ignacy, a to temu niebożątku mało co się należy; oczy zamknięte, usta sine, blada jak chusta." — ,,Podnieść ją trzeba co żywo Krystyno — dodał mężczyzna — i do naszej chaty zaprowadzić. Pewno na odpust dążyła pobożna dusza z robaczkami." A to mówiąc, wołać zaczęli na wracającą do zmysłów panią N., i dźwigać ją z całych sił. ,,Jutro nam powiecie, coście za jedne, moja pani, i co was do tego stanu przywiodło — mówił stary — dziś przenocujcie i posilcie się w chacie naszej i z dziecinami waszemi!" — ,,Bóg wam zapłać;" to tylko wyrzec potrafiła pani N. a zbierając ostatki sił, wyszła z rowu i wsparta na ramieniu poczciwego Ignacego powlokła się do chaty. — Dobra Krystyna wzięła na plecy śpiącą Zosię, a zbudziwszy Józia, obietnicą smacznej wieczerzy zachęciła go do ujścia kawałka drogi. Przyszli zatem szczęśliwie do kresu. Na świeżem sianie starym kobiercem przykrytem, na dobrych pierzowych poduszkach położyli najprzód zmęczoną matkę; wnet posilona wyborną piwną polewką usnęła smaczno. Józio zjadł jeszcze miseczkę klusków z mlekiem i zasnął obok matki. Zosię stara Krystyna wzięła do swego łóżka, nakarmiwszy ją pierwej dobrze kaszką z masłem, i przez noc całą, jak gdyby nad córką i wnukami, tak nad nimi wszystkimi czuwała.

Ledwie dzień zajaśniał i wstał Ignacy, kiedy oboje starzy zaczęli cicho z sobą rozmawiać, i widać było, że jakieś ważne układali rzeczy. Jakoż koło południa, kiedy pani N. wzmocniona snem smacznym i pożywnem śniadaniem, opowiedziała im przygody życia swego, a widząc dobre ich serce, pierwszy raz przed oczyma ludzkiemi wykryła obraz rzetelnej swej nędzy; Krystyna zapłakana wyszła z izby szepnąwszy pierwej Ignacemu: ,,Już jej oświadcz", a Ignacy powstawszy tak przemówił: ,,Jeszcze my to wczoraj oboje dostrzegli żeście wy, moja pani, coś uczciwego i do rzeczy, i że ta nędza wasza nie jest zwyczajna; posłuchajcie, cośmy uradzili z żoną, nimeśmy się dowiedzieli o nazwisku i godności waszej; jeśli wam się to zdawać będzie, to przyjmiecie, jeśli nie, to się nie urażajcie. Oto do tych czas obchodziliśmy się bez nikogo do pomocy w pracy naszej koło domu i pola, ale tej zimy podstarzało mi się bardzo moje babsko; widzę, że jej już z trudnością wydołać wszystkiemu, i chatę zamieść, i jeść ugotować, i drób nakarmić i krówkę wydoić, a prócz tego jeszcze mnie i siebie oprać i obszyć. Gdyby to nie było z ubliżeniem godności waszej, moja pani, gdybyście chcieli być poręką mojej Krystyny i zostać tu z nami, to byśmy was mieli zupełnie jakby za córkę, a wasze dziatki byłyby nam jako wnuki. Bóg nam nie dał dzieci, krewnych też tu żadnych nie mamy, bośmy oboje rodem z daleka aż z pod Lwowa, to i po śmierci naszej wszystko co mamy, byłoby wasze." — Rozczulona i przejęta temi słowami pani N. uchwyciła rękę poczciwego starca: a całując ją, mówiła wśród łez: ,,Całem sercem i całą duszą będę wam córką, ojcze kochany i matko — (bo Krystyna usłyszawszy to jej przyzwolenie przybiegła była natychmiast). — Będę wam służyć, pomagać, pilnować was; ale co z zapisem to się nie kwapcie, dopókąd nie przekonacie się, że zasługuję na tyle dobroci."

I została pani N. z poczciwemi ludźmi, dziękując Bogu, iż sprawdzając jej przeczucie, w pielgrzymce do Czerniakowa szczęście znaleźć jej pozwolił. Wprawdzie to szczęście nie było świetne, ale było pewne i spokojne, a sama myśl, że jej dzieci głodu nigdy cierpieć nie będą, całe jej serce napawała niepojętą radością. — Zaraz trzeciego dnia nim oktawa S. Bonifacego się skończyła, poszła wraz z dziećmi na mszę do Czerniakowa i dziwiła się z wdzięcznością dobroci Boga, który w tem samem miejscu najprzód sierotę mężem opatrzył, a potem matce i wdowie rodziców obmyślił. Nie jedna bogaczka ziemska, otoczona wszelkiemi słodyczami życia, nie dziwi się podobnie i nie dziękuje niezasłużonej Opatrzności nad sobą!

Dwa lata przebyła szczęśliwie pani N. z starym Ignacym i Krystyną, i była, jak obiecała, córką najtkliwszą. Dzieci jej ciągle na świeżem powietrzu, wśród różnych prac ręcznych, do których wcześnie je wprawiała, sił nabrały. W zimowe wieczory uczyła je czytać i pisać i opowiadała im różne użyteczne rzeczy, których i przybrani jej rodzice słuchali ciekawie. Ale zeszłej wiosny stary Ignacy powietrzem ruszony został, i po kiku miesiącach choroby umarł; Krystyna równego prawie co mąż wieku i kochająca go nad życie, zapadła

bardzo po jego śmierci, a gasnąc z wolna, w początkach ostatniej zimy żywot swój zakończyła. Oboje umierając błogosławili przybranej córce i jej dzieciom, i urzędowy zapis mająteczku swego jej zostawili. Większym się okazał nad spodziewanie, bo w różnej monecie srebrnej i złotej, w rozmaitych woreczkach i supełkach, znalazło się w ich chacie do pięciudziesiąt dukatów. Tych użyła pani N. na zakupienie krów, a nie rzucając chaty i pracowitego życia, przedaje mleko do miasta, i utrzymuje się uczciwie wraz z dziećmi, błogosławiąc co dzień pamięć Ignacego i Krystyny, i modląc się za ich duszę. Do Czerniakowskiego kościoła uczęszcza, ile tylko może.

TANIE LECZENIE DOMOWE ROZMAITYCH CHORÓB.

Ludzie mieszkający daleko od miast, a zwłaszcza farmerzy, w przykrem znajdują się czasem położeniu w przypadkach nagłych lub podczas chorób zaraźliwych. W nieszczęściu takim dobrą jest rzeczą jeżeli kto sam sobie umie poradzić i zaradzić. Dla tego też postanowiliśmy podać tutaj kilka pewnych środków leczenia — praktycznych a do tego bardzo tanich, bo po większej części każdy może ich sobie za darmo nazbierać, przygotować i użyć, byle je tylko znał. I w tym też to celu, żeby mianowicie każdy się z niemi obeznał, bliżej je tu opisujemy; miejsca, gdzie ich kto ma szukać wymieniamy i jak ich i na jakie mianowicie choroby używać, wyszczególniamy.

Najważniejsze i niezawodne sposoby leczenia zbolałych piersi macierzyńskich.

Gdy się brodawka zacgni lub podłamuje, bierze się kilka korzonków od białej lilii, te drobno pokrajawszy, wsypują się w czysty kamienny garnuszek, z dodaniem tyle czystej oliwy, aby się te korzonki zanurzyły; potem na gorącej blasze w kuchni gotuje się przez kwadrans. A gdy już ostygnie, przecedza się przez płócienny płatek i wlewa się do czystej flaszeczki. Ten balzam, w chłodnem miejscu, da się konserwować kilka lat.

Takim balzamem brodawka smaruje się kilka razy dziennie palcem i pokrywa się miękkim płóciennym płateczkiem. Dla obmycia zaś piersi trzeba użyć ciepłej rumiankowej wody.

W tej kuracyi można dziecię karmić, gdyż ten balzam nie jest trucizną; lecz aby brodawka więcej wolności miała, lepiej użyć bańki do odciągania pokarmu.

Gdy pokarm w piersi macierzyńskiej zaczyna się już grupić a ztąd powstaje puchlina, wtedy bez straty czasu bierze się:

1 uncya mydła szarego,
¼ uncyi szafranu, na proch utartego,
2 uncye Os-sepiae białego na proszek utartego i przesianego,
¼ łyżki oleju siemiennego;

to wszystko dobrze umięszane utworzy maść, którą wszystką rozetrzej na cienkiej bibule, lub na gazetowym papierze i obłóż całą pierś, a uznasz szybki i pewny ratunek.

Gdy pierś macierzyńska już zgrupiona i zaczyna się kancerować, tedy weźmij:

2 uncye oleju lnianego,
3 uncye oliwy czystej,
3 uncye wosku żółtego,
4 uncye kalafonii zwyczajnej,
2 uncye boli-armenae, w proszku,
2 uncye kalmusu, w proszku,
4 uncye tucyi, w proszku,
4 uncye bursztynu, w proszku,
2 uncye miry przedniej;

to wszystko (oprócz miry) wsyp razem z oliwą i olejem w rądel a mieszając drewnianą łopatką, smaż nad wolnym ogniem. A gdy się już dobrze rozsmaży, wtedy dopiero wsyp mirę i znowu przez parę minut smaż i mieszaj. Jak ostygnie, weźmij cienką irchę lub papier we dwoje gazetowy i na nim rozetrzyj ten plaster tak grubo, jak n. p. koniec wielkiego noża, połóż na całą zbolałą pierś i miej tak aż do drugiego dnia.

Uwagi: Ten plaster Diaphoreticum zwany, cudownie przez skórę i pory wyciąga szkodliwe humory, nietylko uskramia wielkie boleści, lecz nawet zupełnie je goi. Dla tego też bardzo dobrym jest na wyrosłe bubo, na wszelkie wrzody i czarne krosty, przykładając go roztarty na irsze lub kawałku starej rękawiczki, gdyż zmniejszając ból, w końcu wygojenie sprawuje.

W przypadku opóźnienia powyższego ratunku, tak, że już w piersi otwarty rak się pokazał, tedy trzeba do tego plastru dodać ¼ funta Castoreum i nieco oleju, i znowu krótko zasmażyć; a jak nieco przestygnie, wsypać ¼ funta startej na proch kamfory. Chora osoba zaś musi, przykładając ten plaster, często popijać rumiankową herbatę.

Taką wrzodową, otwartą ranę należy się bardzo z wolna goić, aby za rok lub dwa w podobny sposób się nie powtórzyła.

Jest też plaster balzamiczny, bardzo osobliwy na pierś nabrzmiałą, który do drugiego dnia całkiem uśmierza tę boleść. Smaruje się nim miękką irchę tak grubo, jak tylec wielkiego noża, i okrywa się nim całą napuchłą macierzyńską pierś, a nie prędzej się odejmuje, aż sam od ciała przez naciągnienie odwilżenia z ciała łatwo nie odpada. Nie można go jednak prędzej odjąć, aż się drugiej podobnej irchy nie przysposobi, iżby znów czem prędzej obłożyć całą pierś a zapobiedz zamknięciu się dziurkowatości ciała. Chora osoba, chcąca się na zawsze pozbyć takiej niedoli, musi koniecznie po dwa razy dziennie popijać herbatę rumiankową. Ten plaster nazywa się:

prawdziwy angielsko-rosyjski.

Rzadko gdzie go w aptekach znaleźć można, a że jest za kosztowny i nieco trudny do zrobienia, tudzież i utrzymywania go, więc tu sposób. (D. c. n.)